

268

„Czy wiecie, na czym polega sprawowanie władzy? (...) Dajcie mi mędrca, który mi powie, jak mamy to robić. Tak, żeby to rzeczywiście było sprawowanie władzy, i tak, żeby się ona nie stała tworem oderwanym od ideatów, w imię których została powołana do życia”. (JERZY WAWRZAK „LINIA” str. 232)

A więc: rzecz o sprawie. O nas wszystkich, bez względu na to, czy nasze poglądy i twarze mieszczą się w okładkach legitymacji partyjnych, czy nie. Choć odpowiedzialność, ta - mówiąc bardziej patetycznie - w obliczu historii, jest (i musi być chyba) większa po stronie tych, którzy sprawują władzę. Ale nie sprawują jej - ani dla niej samej, ani dla siebie podobnych działaczy - w wyizolowaniu społecznym. Stąd, nie tylko idea lub linia władzy tworzą w praktyce jej wartości moralne. Tworzą je ludzie: rządzący i rządzeni, wzajemnie się uzupełniając czy ścierając.

Mowa będzie o naszych konkretnych sprawach. O sprawie socjalizmu w ujęciu teoretycznym - o sprawie socjalizmu „który się lubi”. A że są to czasami zjawiska dalekie od doktrynerskiego punktu widzenia, niekiedy budzące namiętną dyskusję, nieporozumienia i pozorne sprzeczności - nie trzeba dodatkowo udowadniać.

Problemy władzy - od strony moralnej, a więc ludzkiej - są stare jak świat. Weszły też do historii literatury, stały się inspiracją niejednego znaczącego w dziejach kultury - dzieła dramatycznego. Jak długo istniejemy, istnieją formy władzy. Zmieniają się jej treści ideologiczne, ale nie zmieniają się (z wyjątkiem religijnych kultów) prawda, że władza pochodzi od ludzi, że jest zależna od układów społecznych - demokratycznych lub antydemokratycznych.

Artyści dramatyczni prawdopodobnie dlatego zyskali rangę wielkości, ponieważ poruszały właśnie tę sferę działań ludzkich, która skupia jak w soczewce dramaty postaw ideowych, walkę o prawdę losu osobistego i wprężniętego w losy społeczeństwa. Nie bójmy się stwierdzenia, że naprawdę wielkie utwory sceniczne rozgrywają się w tle politycznym i wyraźnych ramach społecznych. I one zawsze budzą żywy odźwięk.

Nie sądzę, żeby tezę o zapotrzebowaniu społecznym - odbiorców i teatru - na dramaturgię współczesną, trzeba było specjalnie uzasadniać. Jest swoistym paradoksem, że teatry wyczekują na współczesne, polskie sztuki i nie doczekawszy się, sięgają po przeróbki powieści lub słuchowiska radiowe - zamiast przyciągnąć do bliższej współpracy sprawdzonych już, w sensie scenicznym autorów, albo dać szansę utalentowanym debiutantom. Samo bierne oczekiwanie nie rozwiązuje napiętej sytuacji na reperturowym rynku.

Toteż nie rażą mnie zabiegi w kierunku uteatralniania twórczości niescenicznej, jeśli treści są tak dramatyczne, że warto je przysposobić dla potrzeb sceny. Ale tych adaptacji, zaspokajających artystyczne ambicje przy ukazywaniu ważnej, znaczącej dla widzów tematyki, nie znajdujemy więcej - na przestrzeni 30-lecia PRL - aniżeli palców u obu rąk...

I jeśli powiem teraz, że warto pochwalić np. **TEATR LUDOWY** za pomysł przedstawienia nie tylko współczesnej problematyki, ale i jak najbardziej politycznej, jaką technicznie powieść Jerzego Wawrzaka „Linia” - to jednocześnie, zaraz na wstępie, muszę sobie (i teatrowi) zadać pytanie dość zasadnicze. Pytam więc, czy autentyczny smak tej książki i zaangażowanie jej autora, wręcz pasja walki z szablonami ujęć „świętości pomnikowych”, aby przywrócić normalne wymiary bohaterowi pozytyw-

nemu, który żyje jak każdy z nas w ciągłych utarczkach z sobą i otoczeniem - a przecież właśnie dlatego jego działanie nabiera cech wartościowych (choć nie idealizowanych) - a zatem, czy klimat owej powieści czuje się w teatrze? I odpowiadam: nie w całej pełni.

„**L**INIA” przypomina mi trochę atmosferę politycznych opowieści Putramenta, na skrzyżowaniu jego „Małowiernych” z „Pasierbami”. Jest w niej także coś z utworu Domańskiego „Ktoś nowy” - acz w innej konwencji, nie komediowej - bardziej pogłębionej psychologicznie oraz intelektualnie. Powieść Wawrzaka można wprawdzie zaliczyć do rzędu publicystyki z aspiracjami artystycznymi, ale dobra publicystyka też jest potrzebna tam, gdzie brakuje szerokiego oddechu prozatorskiego. Zresztą „Linie” czyta się jak prawdziwą beletrystykę. Zachowuje ona wielowymiarowość, dąży do uogólnień ideowo-artystycznych wykraczających zdecydowanie poza obszary dziennikarskiej relacji. A najważniejsze, iż kreśli sylwetki ludzi poprzez ich samodzielny tok myślenia i odczuć. Do publicystyki zbliża się jedynie pewną frazeologią wypowiedzi. Jednakże i ten styl dialogów, czy monologów „wewnętrz-

Jerzy Bober

TWARZE i LOSY

nych” - ma swoje motywacje w... życiu. W owej mowie jakby uproszczonej, przeźartej plakatowością i gazetowymi stereotypami, a wreszcie surową samokontrolą w obliczu pryncypiów.

Trzeba przyznać, że Wawrzak podjął się ambitnego zadania. A przez to - zadania trudnego. Chciał bowiem przerwać krąg milczenia wokół spraw, które jeszcze nie tak dawno nie mogły się pomieścić w pojęciach niektórych polityków i działaczy. Z jednej strony nawoływali oni do twórczości literackiej, odzwierciedlającej pełne życie społeczne - a z drugiej strony, do malowania obrazków „typowych” ludzi, gdzie każda cecha negatywna musiała być równoważona cechą (lub kilkoma cechami) pozytywnymi. A już w postaci działacza-sekretarza konflikty, rozterki, prawo do omyłek, a więc słabości czysto ludzkie (choćby i zwalczane) poczytywano za próby ośmieszenia całej partii, bez względu na intencje autorów. I rzecz nie w tym, czy wszyscy odpowiedzialni działacze tak myśleli - bo z pewnością tak nie myśleli! - ale praktycznie „model emoty nieskalanej” obowiązywał przez lata. Zresztą, sprzyjała temu również postawa pisarzy-schematystów i asekurantów, lub zbyt słaba znajomość tematu.

Prawdę mówiąc, tylko autor, który znakomicie poznał realia będąc sam działaczem, mógł wreszcie napisać książkę o ludziach partii, o ich moralności i oddaniu sprawie - o liniach władzy, przebiegających przez żywe organizmy. O uczciwości, która nie wyklucza pomyłek w metodzie kierowania innymi; o salamaniach osobistych, które są niezależne od

pryncypiów ideowych; o nieświadomym krzywdzeniu podwładnych w imię słusznych założeń, co nie zawsze jest wynikiem złej woli i ważniactwa, ale może mieć źródła w temperamencie, przyzwyczajeniach, w braku podejmowanych dyskusji przez stronę „rządzoną”, w wygodnym milczeniu środowiska pozbawionego własnego zdania oraz inicjatywy.

Jak sprawować władzę? Oto sens ogólny powieści Wawrzaka. Powieści o I sekretarzu KP, Michale Gorczyźnie, „który stał się ofiarą własnych metod, surowych zakazów i pryncypialności” - a także smutnym bohaterem anonimów, mimo niewątpliwych zasług i dobrej roboty organizatorskiej w powieści. I który nie potrafił (choy nie chciał) współżyć z ludźmi, stworzyć z nich współpartnerów słusznej sprawy, zamiast marionetek żyjących w postrachu. A co ciekawsze, nawet opozycjoniści przyznawali mu rację... nie chcąc jednak z nim pracować.

W czym tkwił błąd Gorczyzna? W wykazywaniu swej, nawet nie wypowiedzianej, wyższości. W arbitralnej postawie pouczającego. W tym jakimś „przedobrzeniu” władzy, której absolutnie nie można niczego zarzucić, prócz ascetycznej wręcz surowości. Asceza uświęca. Ale, jeśli wzorowy asceta narazi się na

TEATR

pewne podejrzenia odstępstw od zasad - biada mu! A Gorczyzna okazał się w końcu takim samym człowiekiem, jak inni. Co z tego, że jego nowa miłość była prawdziwą miłością? Jako przykładny, od 14 lat, mąż - rozbił własną rodzinę. Rozwiął się mit mocnego człowieka. Runęła lawina domysłów, zarzutów i pretensji na pozostałych odcinkach jego działalności. Wprężnięto w tryby „śledztwa”. Wojewódzką Komisję Kontroli Partyjnej, gazetę partyjną. Zaczął się sąd nad Gorczyzną. Ale ten „sąd” - w osobie doświadczonego, starego działacza Juzala - choć pryncypialny, okazał się niedogmatyczny, po prostu ludzki. Nie współczujący, lecz rozumiejący niedoskonałości natury człowieka, któremu wbrew jego własnym przeświadczeniom, czasem trzeba i należy pomóc.

Jak te nury powieści, zaznaczone tu z konieczności w sposób skrótowy, przedstawiają się ze sceny? Adaptacja **JERZEGO SOPOCKI** nie pomieściła owej wielowymiarowości książki Wawrzaka. Posłużyła się - na tle „żałuzjowej” dekoracji **WALDEMARA KRYGIERA** - zbitkami scen, nieraz bardzo odległych od siebie w toku narracji „Linii” - redukując powieściowy miąższ dramatyczny do z grubsza zarysowanej linii fabularnej. Dramat zawisł jak gdyby w próżni, pozbawiony ogromnej większości motywacji działań głównego bohatera i tego wszystkiego, co o nim wiedza, lub dowiadują się świadkowie oskarżenia oraz obrony. Z powieści o Gorczyźnie powstał scenariusz o... Juzali. A zatem dramata, w którym najmniej wiemy o naczelną jego postaci i przyczynach konfliktów. Konflikty są

jedynie sygnalizowane, bez ich artystycznego rozebrania w teatrze. Tylko Juzala prezentuje jakąś pełnię osobowości, przejawia wewnętrzne rozterki oraz ujawnia linię dramatyczną tej władzy, której jest przedstawicielem, sędzią i... współoskarżonym. Gorczyzn występuje rzadko, a sytuacje, w jakich go widzimy na scenie niczym nie potwierdzają „tragedii optymistycznej” człowieka i działacza. Właśnie tych spraw, które w książce najbardziej zasługują na uwagę, a które są czymś więcej, aniżeli dziennikarskim opisem. Zupelnym nieporozumieniem wydaje się scena rozmowy z żoną (**WANDA SWARYCZEWSKA**), rozmowy burzącej dotychczasowe życie Gorczyzny - przeprowadzonej... w garażu. Jakby samochód grał tu główną rolę! Dialog ten - pomijając fakt, że nie zgadza się z realiami powieści - upraszcza i zubaża wiedzę widzowi o bohaterze. Jest nieprawdopodobny. Ginie też z pola widzenia punkt wyjściowy powieści: wypadek, jakiemu ulega Gorczyzn i szpitalna sceneria jego retrospekcji w głąb dotychczasowego życia.

Trywializacją traci także rozwiązanie sceniczne spotkania w domu „podejrzanego” przewodniczącej MRN, jednego z głównych świadków nieanonimowych ze strony przeciwników Gorczyzny. Zamiast poważnych zarzutów (występujących w książce) adaptator i reżyser sprowadzają wizytę dziennikarza (niezła rola **JANUSZA SZYDŁOWSKIEGO**) u przewodniczącej (**JANINA BOCHENSKA**) do niedwumnacznego kontaktu erotycznego. Osłabia to rzeczywiste motywy działania osoby, może zbyt swobodnie w obyczajach, ale przecież nie kobiety „z ulicy”. W ogóle zabrakło tła, z którego wynikają dramatyczne napięcia w życiu ludzi i miasteczka.

Cała dokumentacja „procesowa” Juzala - te rozmowy, wywiady, wizyty w zakładach pracy - po prostu nie istnieje w adaptacji. Wierzmy niejako na słowo, że Juzala z n a prawie całą prawdę o Gorczyźnie i jego stosunek do wielu ludzi, czy zagadnień gospodarczo-politycznych. I jedynie ciepłej, przekonującej grze **ZDZISŁAWA KLUCZNIKA**, zawiązujemy wrażenie, że Juzala jest postacią żywą, znakomicie wycienioną. Dialogi pomiędzy Gorczyzną a jego ukochaną, Katarzyną - tylko w ujęciu tej ostatniej (**DANUTA JAMROZY**) nabierają rumieńców. Ale grzeszą skrótowością, co nie ułatwia orientacji widzowi w sprawach wielkiego uczucia, namiętności i poetyckiego piękna ich wzajemnego stosunku, który - ani nie jest słabością charakteru Gorczyzny, ani brutalnym budowaniem szczęścia własnego na cudzej krzywdzie - ze strony Katarzyny. Niestety, owych niuansów psychologicznych nie widać w spektaklu.

A mime wszystko widowisko przyciąga uwagę. To znaczy, że treści „Linii” są frapujące, że byłyby jeszcze bardziej sugestywne dla odbiorcy, gdyby mu pozwolono zagłębić się głębiej w duszę i umysł osób dramatu, których zaledwie kontury szkicuje adaptacja Sopoćki. Na grze aktora **SOPOCKI** (jako Gorczyzna) zaciążył reżyser-Sopoćko i adaptator-Sopoćko, który wiedząc wszystko o swoim bohaterze, jakby zapomniał tę wiedzę przekazać widzom i słuchaczom. Pewnym usprawiedliwieniem niech tu jednak będzie, moim zdaniem, trudna do pokonania bariera, którą trzeba przeskoczyć, aby w pełni przystosować powieść dla potrzeb teatru w normalnych wymiarach widowiska. Może Wajda potrafiłby - idąc śladem „Biesów” - połączyć tu teatr z filmowym tokiem akcji? Bo chyba tylko film, czy widowisko telewizyjne zamieniłoby wszystkie niedopowiedzenia, splaszczenia i oschłość teatralnej publicystyki w pasjonującą, krwistą opowieść o ludzkim losie działacza i moralności władzy.